

TEXT APPEAL



AMBER ROBERTS



AMBER ROBERTS

TEXT APPEAL

PRZEŁOŻYŁA
Małgorzata Fabianowska



TYTUŁ ORYGINAŁU:

Text Appeal

Redaktorka prowadząca: Ewelina Czajkowska

Wydawczyni: Joanna Pawłowska

Redakcja: Marta Stochmiałek

Korekta: Anna Burger

Opracowanie graficzne okładki: Ewa Popławska

Ilustracja na okładce: © Ana Hard

Wyklejka: © pingebat; © top dog; © Cali6ro / Stock.Adobe.com

DTP: pagegraph.pl

Copyright © 2023 by Amber Roberts

Copyright © 2024 for the Polish edition by Wydawnictwo

Kobiece Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Małgorzata Fabianowska, 2024

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2024

ISBN 978-83-8371-223-9

Grupa Wydawnictwo Kobiece | www.WydawnictwoKobiece.pl



ROZDZIAŁ 1

W karierze każdej kobiety przychodzi taki moment, kiedy jedynym sensownym posunięciem wydaje się fanga w nos obrzydliwego pajaca siedzącego przy sąsiednim biurku. Jeszcze nie doszłam do tego punktu, ale ma on wysoką pozycję w pierwszej piątce moich ulubionych fantazji. Przychodzi nie dzień w dzień do tego samego biura tylko po to, żeby się narażać na lekceważenie lub całkowite ignorowanie, potrafi wypaczyć charakter.

Dopiero 9.30 i do 17.00 jeszcze cała wieczność.

Wcisłam „Wyślij” pod moim najnowszym esemesem z serii „biedna ja”, napisanym do Teagan – przyjaciółki jeszcze z gimnazjum i najfajniejszej osoby, jaką znam – po czym wkładam telefon do szuflady biurka.

Biurowa robota z reguły jest do dupy. Narzekanie, wbijanie sobie noży w plecy i plotki wystarczą, żeby zoptymalizować całą ideę korpo. Choćby taka sytuacja – lodówkowy rabuś kradnie twój jogurt i ciasteczko, a tobie wystarczy tylko chwila, by trafić do Krainy PMS-owego Wkurwu, bo jedynie myśl o przekąsce trzymała cię przy życiu.

W czasie zebrania zawsze kicham, kiedy ktoś mi przerywa, i kaszlę, kiedy ktoś bardziej wygadany przejmuję moje pomysły i zgłasza je jako swoje. Rezultat? Sugestia szefa, żebym od jutra na dzień lub dwa „odpuściła sobie” i wróciła do pracy, kiedy „lepiej się poczuję”.

Pracuj, jedz, śpij, pracuj, jedz, śpij. Pochłoń parę kubków lodów Ben & Jerry's, zaliczając maraton tandetnych seriali o detektywach kontra zjawiska nadprzyrodzone – a będziesz mieć pojęcie o moim życiu.

Chłopcy z tylnego rzędu zaczęli swoje zwyczajowe pogaduszki – opowieści o weekendowych osiągnięciach w strzelance *Halo* (mogłabym w to grać z zamkniętymi oczami). Któryś z nich kliknął długopisem. I znów. Włożyłam słuchawki w uszy i podkręciłam głośność. Ryknęli Rage Against Machine, zagłuszając pogaduszki na tyle, że zdołałam wygenerować ostatni fragment kodu. Nic specjalnie skomplikowanego, to jasne – z takimi cyckami jak moje trudno jest napisać coś bardziej złożonego.

Znów zdecydowałam się na podstawowe znaczniki – bo „lepiej zostawić resztę prawdziwym programistom”. Najwyraźniej określenie „kobieta samouk” nie ma takiej wagi jak: „Tata kazał mi zdawać na swoją Alma Mater, żeby rodzinnej tradycji stało się zadość, ale wybrałam zarządzanie projektami, bo nie chciałam mu dać satysfakcji, spełniając jego marzenie, aby iść na prawo”.

Cień zawisł nade mną. Wyszarpnęłam jedną słuchawkę z ucha i wbiłam wściekle spojrzenie w jego właściciela.

To był Drew, pentester: czarne dżinsy (zbyt obcisłe), koszula na ostatni guzik (zbyt nienaganna), idealny kołnierzyk i charakterek tak ostry, że ciachnąłby pomidora jak w telewizyjnej reklamie noży.

– Otagowałeś to już? – zapytał.

– Kończę. Zacięłam się na...

Uniósł palec – wiecie, takim gestem, że na jego widok ma się ochotę dźgnąć faceta zardzewiałymi nożyczkami w udo.

– Na razie tego nie potrzebuję. Działaj spokojnie i daj mi sygnał, kiedy plik będzie gotowy. Ten klient jest rozwojowy i dzięki tobie budujemy relację. Powinnaś być dumna.

Przewróciłam oczami, ale się opanowałam. Nie mogę ryzykować, że mnie wywalą z jedynej roboty, dzięki której mam na czynsz. Burlington w stanie Vermont to najbardziej zajębiste miasto, jakie można sobie wymarzyć, ale koszty życia są tu nieprzyzwoicie wysokie. Poprawiłam swoją maskotkę, rycerza z klanu McKwaków, a potem sprawdziłam, czy wszystkie znaczniki są zamknięte, a średniki na swoim miejscu. Nawet jeśli nie potrzebowałam gumowej kaczki w zbroi i z mieczem przy debugowaniu tak prostego kodu, jej towarzystwo dodawało mi otuchy.

Mój telefon zawibrował w szufladzie i szybko go wyciągnęłam, bo echo rozeszło się w całym open space. Zaczęłam przewijać ostatnie wiadomości od Teagan.

Serio, Lark, zerwij się stamtąd.

Gram na automatach. Wbijaj.

<ładowanie zdjęcia> Skee-Ball!

Olewasz mnie?

Zasłoniłam sobą telefon, żeby odpowiedzieć.

Tu za wagarowanie kobiety nie dostają awansu.

Oj tam.

Pokusa była silna. Tylko Teagan potrafiła mnie sprowadzić na manowce. Zawdzięczam tej dziewczynie dziesiątki błędnych decyzji, od mojego prawdziwego pocałunku (z Marlą Grey, latem na obozie przed drugą klasą, za domkiem kadry), do nieszczęsnego incydentu na łodzi z kostiumem robionym na szydełku. Jednak trwałam przy niej niezłomnie, nawet jeśli mieszała mi w życiu.

Nie mogę. Spotkajmy się o piątej.

Ta twoja robota jest do dupy.

Fakt.

Zdażyłam schować komórkę, kiedy do open space'u wkroczył Martin, ksywka Szef z Piekła, Diabeł Wcielony, i omiół wzrokiem swoją domenę. Dostałabym po kieszeni, gdyby mnie przytapał z telefonem. Nie miałam jaj, żeby sobie z czymś takim poradzić. Dosłownie.

– Dzień dobry. – Głos miałam ochrypły, z trudem wydobywał się z gardła zaciśniętego od poczucia winy.

Odpowiedziało mi chrząknięcie – coś więcej niż zwykle – a potem rozkaz:

– Zebranie. Cały zespół.

Słownik faceta. Po prostu – wow! Przebogaty.

Trzy razy zasejwowałam ostatnią partię kodu i pomknęłam do sali konferencyjnej, aby wysłuchać podsumowania najnowszej aplikacji i przeżyć dwudziestominutowy seans egogłasków, który sobie zaserwowali obecni tam faceci,

komplementujący layout, design i śmiałe koncepcje typograficzne. Efektowne zestawienia i kontrasty – dzieło najbardziej utalentowanych mężczyzn z naszej załogi. Nic w stylu: „Hej, Lark, dzięki, twoje opracowanie tematu to prawdziwa profeska. Nie wiem, co byśmy bez ciebie zrobili! Sześćdziesiąt godzin tygodniowo, nieźle”.

Martin przeszedł do kolejnej pozycji pięćdziesięciopunktowego programu.

– Kontrakt Stannarda i Holdena praktycznie jest dopięty. Jak możemy ich jeszcze pocisnąć, żeby podpisali? Musimy im dać mocnego koncepcyjnego kopa.

Nikt nie miał pomysłów. Ale cuda się zdarzają. Wytarłam spocone dłonie w legginsy i skubnęłam fałdkę materiału.

– Um... – zaczęłam. – A może byśmy poszli tropem współczesnej kultury, która wszystko grywalizuje? Na przykład taka... apka która tworzy ankiety lub quizy na podstawie surowych danych od klientów. – Czułam, że trafiłam w sedno, więc usiadłam prosto. – Jaka jest twoja ulubiona rasa? Odpowiedz na parę zabawnych pytań... no i mamy to: buldożek! I już jest target – fani francuskich buldożków.

Szef ograniczył się do odchrząknięcia.

Drew uderzył dłońmi w stół i zwrócił się do niego:

– Wiadomo, że reklamy interaktywne są bardziej skuteczne i zapadające w pamięć. Czemu nie mielibyśmy przeznaczyć środków z budżetu na aplikację, która prezentuje ich promocje jako... powiedzmy, wyniki quizu?

Zimny dreszcz przeszedł mi wzdłuż kręgosłupa, a policzki zapłonęły żarem. Na skutek tej kombinacji moja skóra zrobiła się chorobliwie lepka. Szef zawsze tak na mnie działał. Uwaga, z ostatniej chwili, dupeczko: porzuć ten żargon, bo nie dodaje uroku twojej idei, ostrzegłam się w myśli. Szef

zastanawiał się nad moim pomysłem, stukając zgiętym palcem w podbródek, po czym skinął głową.

– Fantastycznie, Drew. Super, tak trzymaj.

Drew wydał wargi i kiwnął głową, chłonąc pochwałę, która należała się mnie. Ten palant zawsze jest głośny – i zawsze dzięki temu wygrywa. Po paru skromnych uwagach typu: „Choć wielkość pomysłu nie ma znaczenia, to jednak mój jest największy i najlepszy”, spotkanie zakończyło się tym, co zawsze – moją przegraną.

Ledwie wróciłam za biurko, znów wyjęłam telefon i napisałam do Teagan.

Drew jest niezdolny.

Jak 90% ludzi na tej nieszczęsnej planecie.

Ruiniuje moją pracę.

Wypal ich do korzeni. <ładowanie zdjęcia>

Teagan spuentowała swoją radę gustownym selfie: zapozowała przed kamerą z językiem wywalonym na brodę. Gene Simmons jak się patrzy.

Chelsea i Lucy czekają w blokach startowych, więc rzuć hasło – i wbijamy do Dandy's na parę drinków. Zbieraj się, obowiązek wzywa.

Teagan, błyskotliwa trenerka seksualna i akwizytorka gadżetów erotycznych, ma bajeczne życie. Ale to jej bajka, nie moja. Jej początkowy pomysł na karierę – marketing – nie

wypalił i to było najlepsze, co mogło ją spotkać. Podczas gdy żywiłem Teagan były dilda i sprośne gadki, mój ideał to raczej połknięcie całej książki podczas jednego posiedzenia z podwójną penetracją ziołową herbatką.

Po paru godzinach przyszedł kolejny esemes, tym razem od Toby'ego.

Nowy mem, cudny!

Obrazek: kosmita Spock z puchatym kotem na kolanach i tekst: „Żyj długo i pers-pektywicznie”.

Niełojalny! Zdradziłeś *Gwiezdne wojny*
dla *Star Treka*.

Toby przytrzymał mi włosy, kiedy rzygałam na swojej pierwszej imprezie w koledżu, po czym w ostatniej chwili wymigał się od pijackiego pocałunku, pogrążając moją nadzieję tym jednym, słusznym odruchem. Potem się z tego tłumaczył, mówiąc, że nie był pewien, czy traktuję sprawę poważnie, a ja się wstydziłam swojego zauroczenia. I tak zapuszkowałam swoje uczucia. Koniec z kradzionymi pocałunkami, zero romansów. Tylko solidna przyjaźń, ugruntowana wspólnym uwielbieniem do serialu *Firefly* i miłością do śmieciowego jedzenia.

Minęło ponad dziesięć lat i flaga była ciągle wetknięta w „przyjacielskie” terytorium.

Każdy rzut oka na zegar przybliżał mnie o nędzne pięć minut do chwili wyjścia z firmy. I wreszcie się stamtąd wyrwałam – po przepracowaniu pół godziny więcej niż reszta zespołu, która spóźniła się do pracy.

Mgiewka unosząca się w powietrzu po burzy wysała mi tlen z płuc, przenikając mnie dokuczliwą, gęstą wilgocią. Dzięki tej letniej zawieszinie włosy skręciły mi się w kędziorki.

Guzdranie się w pracy tylko po to, aby wreszcie zawlec tyłek do domu, podgrzać sobie mrożoną pizzę i oglądać Netfliksa, aż zasnę na kanapie, nie mieściło się w moim planie dziesięcioletnim, bo musiałam udowodnić, że taka dziewczyna jak ja może się mierzyć z najlepszymi, gdyż ma ścisły umysł. Aby podtrzymać ten sen o potędze, często powtarzałam sobie, że któregoś dnia wezmę sprawy w swoje ręce, wykorzystując wcześniejsze możliwości, i odtąd będę mieć wieczory naprawdę dla siebie, by relaksować się z czytałem w łóżku. Ale nie dzisiaj.

Strzeliłam na szybko fotę dla Teagan – ja, rozwalona na kanapie z pudełkiem Ben & Jerry's dla towarzystwa. Rude włosy upięłam na czubku głowy – letnia wilgotność powietrza torpedowała wszelkie próby narzucenia stylu moim kudłom, więc luźny kok był najlepszą opcją. I choć uśmiech wyglądał na wymuszony, sprawdzony tusz wyeksponował moje niebieskozielone oczy. Super, zważywszy na fakt, że nigdy tak naprawdę nie umiałam się malować.

Glamurna jestem, co? <ładowanie zdjęcia>

O, nie. Widzę, że musi być babski wieczór, pilnie ☺

Teagan zawsze dostaje to, czego chce. Ta niepisana prawda objawiała się każdego dnia od chwili, kiedy się poznałyśmy. Jakoś tak wszechświat zawsze jej sprzyjał, co sprawiało, że nie śmiałam negować żadnych jej poczynąń.

Poza tym, gdybym zdradziła, że nie mam ochoty na taką imprezę, zaraz by weszła w tryb „Dziewczyny Chcą się Zabawić” –

fundując mi filmowy makijaż i ubierając mnie w coś krzykliwego, wykraczającego daleko poza moja strefę komfortu.

Musiałam więc na to pójść... albo klócić się przez pół godziny, aż się poddam i w końcu się zgodzę.

* * *

Dotarłam do Dandy's przed wszystkimi. Miałam zakodowane w głowie, żeby zawsze być wcześniej. Przybyć na miejsce, wyczuć moment i wślizgnąć się do środka niezauważona. Potrzebowałam czasu, żeby precyzyjnie się do baru i znaleźć wolny stółek. Introwertyzm podpowiadał, że ciche, wczesne przybycie jest zawsze lepsze.

Ekstrawertyzm z kolei podpowiadał, że niezmiennie wszystkie spojrzenia ściąga Teagan. Co potwierdziła efektownym wejściem, spóźniona o kwadrans. Chelsea, Lucy i ja sączyłyśmy smakowe lemoniady, patrząc, jak Tee tanecznym krokiem – praktycznie wirując – sunie do baru. Miało się wrażenie, że podkreśliła rzeczywistość, bo wszystko stało się nagle głośniejsze i barwniejsze.

Zgarnęła kapelusz z głowy faceta siedzącego przy barze i wsadziła go na swoją. W pierwszym momencie się wkurzył, ale zaraz uśmiechnął się szeroko, kiedy rozpoznał złodzieja. Znała tu wszystkich i wszyscy ją kochali. I wszystko, co robiła, było super. Gość się zaśmiał, Teagan się zaśmiała, a razem z nimi reszta baru.

Wszystko dla zabawy i zabawa dla wszystkich.

Teagan z powrotem wcisnęła facetowi kapelusz na głowę, szturchnęła go w ramię, po czym ruszyła dalej, kołysząc biodrami. Luz wychodził jej uszami i mogłaby nim obdzielić całą barową ekipę na czele ze mną. Przez lata przyjaźni nie

zdołałam się tym od niej zarazić, ale coś mi się udzielało w jej towarzystwie.

Teagan, zaliczywszy po drodze jeszcze parę interakcji z barowymi bywalcami, wreszcie dotarła do krzesła, które czekało przy naszym stole. Zanim zdążyła klapnąć na nie tyłkiem, już stał przed nią drink. Lokalne piwo w nieotwartej butelce.

Kelner skinął głową w kierunku kapelusznika, który uniósł ku niej identyczną butelkę w toaście, po czym mocno z niej pociągnął. Teagan odprawiła gestem podsunięty jej otwieracz i popukała obgryzionym paznokciem w kapsel, wymownie wydymając wargi i spoglądając na gościa. Bar zamarł, czekając, co będzie dalej; wciągnięto oddechy i zapadła niepokojąca cisza, mącona jedynie przez kapelę grającą na żywo klasyki rocka.

Teagan poprawiła masywny pierścionek na środkowym palcu i przesunęła go przez knykcieć, po czym zaczęła nim kapsel i szarpnęła. Piwo otwarło się z obiecującym syknięciem. Chciwie upiła łyk i uniosła butelkę w kierunku barmana. Cała sala ryknęła „Eeeiiiija!” z taką mocą, że zgłuszyłaby refren z *Pour Some Sugar On Me*. A potem szybko powrócono do drinków, bilardu i pijackich gadek.

– Sorki za spóźnienie. – Teagan ściągnęła skórzaną kurtkę i zarzuciła ją na oparcie krzesła. Nawet w dusznym, upalnym lipcu, w tej tropikalnej wilgoci nie było na niej kropli potu. – Wiecie... ee...musiałam coś skończyć.

Jak na komendę uniosłyśmy szklanki w toaście, chóralnym pomrukiem kwitując jej sugestywny ton, a Teagan odpowiedziała ukłonem.

Te nasze dość regularne babskie spędy nieodmiennie rozpoczynała opowieść Teagan o jej najnowszym podrywie, naszpikowana pikantnymi szczegółami. Gdy randka nie była

zbyt ciekawa, koloryzowała ją. Zresztą upiększała swoje historie nawet wtedy, kiedy nie musiała. Trudno było wyłuskać z tego prawdę, bo reżyserowała swoje łózkowe podrywy jak jeden wielki film przygodowy i prawie każdego wieczoru w knajpie, niczym kaszmirowy szal, wisiała na niej jakaś kobieta.

Zawsze w takim przypadku Teagan musiała tłumaczyć, że jej jedyną prawdziwą miłością są – i zawsze były – przygody na jedną noc. Do jej łóżka ustawiała się niemająca końca kolejka chętnych, zachwyconych luzackim stylem życia idolki.

Lucy często wspominała lata, kiedy miała czas na seks, i lamentowała nad swoim aktualnym życiem, z mężem, dzieckiem i pracą na pełny etat, w tej rzeczywistości rzadko znajdowała okazję do szybkich skoków w bok – po których zresztą zasypiała w fotelu, zanim mąż zdążył wyjść z łazienki.

Chelsea niewiele się odzywała i tylko od czasu do czasu uchylała rąbka tajemnicy – przy czym większość z tych krótkich historii była inspirowana najnowszymi serialami.

No i wreszcie ja. Karby wycięte na wezgielwui mojego łóżka były kroniką seksualnego dojrzewania, pełnego nieudanych randek i wątpliwej jakości partnerów. Zwykle nie rwałam się do zwierzeń, bo miałam niewiele do powiedzenia. Stopień napalenia facetów i moją potrzebę czegoś więcej niż numerek na tylnym siedzeniu trudno było uznać za fantastyczną kombinację. Że to esencja studenckiego życia? Nie dla mnie, dzięki. Ja miałam w planie karierę i wzięcie szturmem świata informatyki.

Zajęłam się podsumowaniem mojej najnowszej katastrofy – czyli randki – i nie oszczędziłam dziewczynom szczegółów.

– Budowanie napięcia, rozumiecie? Kiedy przez całe popołudnie wyobrażasz sobie te wszystkie manewry, prowadzące do pocałunku i moment, w którym ulegasz zmysłom. Na ułamek sekundy, zanim jego wargi dotkną twoich, wdychasz

go... A potem facet dosłownie, dosłownie!, wylizuje ci usta od środka, jak pies. I wszystko ci się rozmywa, bo już nie wiesz, czy się z kimś całujesz, czy jakiś nadgorliwy woźny pucuje ci paszczę mokrym mopem.

Całe trio ryknęło śmiechem; papierowe serwetki i słomki poleciały w moim kierunku, aż głowy barowych bywalców obróciły się w naszą stronę.

– Nie wierzę, nie mogło pójść aż tak źle – stwierdziła Chelsea.

– No dobra, ten pocałunek nie był aż tak żałosny, jak tamta katastrofa z Damienem Sandersem Juniorem w drugiej klasie, ale nawet się nie umywa do całusów ze szkolnego busa, które kradliśmy sobie z Jordanem w pierwszej klasie. Szczerze mówiąc, nie wiem, dlaczego jeszcze zawracam sobie głowę takimi sprawami.

– Wiesz, jaki jest twój problem? – zapytała Teagan.

Gdy wiedziała, nie byłoby tych opowieści o mojej łózkowej pustyni.

– Za bardzo się koncentrujesz na oczekiwaniach i uważasz, że to, co masz na wyciągnięcie ręki, jest ciębie niegodne. A powinnaś po prostu korzystać z okazji i brać do łóżka kogokolwiek, dowolnej płci i orientacji, kto ci się nawinie. Traktować ich jak maść, po którą sięgasz, kiedy cię... swędzi – poradziła, puszczając do mnie oko, jakbym nie zrozumiała tego okrutnego przytyku.

Jak na komendę jakiś niechlujny gość w koszulce Red Sox zmienił kurs i ruszył w naszą stronę.

– Czy ktoś mnie wołał? – zagadnął, puszczając do mnie oko.

– Nie ciebie, Justin. – Teagan odprawiła go wymownym ruchem głowy. – Spływasz stąd.

– Ja tylko próbowałem. – Wzruszył ramionami i jak gdyby nigdy nic skierował się do baru.

– Nie lubię cię, Teagan – mruknęłam. – Przygoda na jedną noc kłóci się z drzemiącą we mnie grzeczną dziewczynką.

– Jednorazowy numerek niczego nie ujmie twojej grzecznej dziewczynce – zaprotestowała. – Co jest złego w dogadaniu sobie i robieniu tego, na co się ma ochotę? Mężczyźni zachowują się tak od zawsze i nikt ich nie potępia. Moim zdaniem nie ma sprawy, bylebyś uważała.

– To nie jest opcja dla mężatek – powiedziała Chelsea do Lucy, która właśnie zawiesiła wzrok na Justinie, tym gościu od Red Soxów.

– Nieprawda – zaprotestowała Teagan. – Jeżeli oboje w to wejdziecie, ustanowicie zasady i dacie sobie luz... wasz związek tylko na tym skorzysta. Ta rada dotyczy również małżeństw.

Wzrok Lucy ciągle spoczywał na Justinie, ale pokręciła głową, odrzucając radę Teagan. Za moment wszystkie spojrzały na mnie.

– To nie mój styl i wiecie o tym – stwierdziłam. – A poza tym po Kevinie i tak wrzuciłam luz.

– Zakłamaný dupek. – Teagan skrzywiła się z wyraźną pogardą.

Podobnie jak Justin, Kevin miał orzechowe oczy, naturalnie falowane włosy i uroczy, lekko krzywy uśmiešek. No i zobaczcie, czym to się skończyło. Zerwaliśmy znajomość (choć bez wielkich scen), przestaliśmy ze sobą gadać, choć jedno z nas (ja), gorzej na tym wyszło. Zmarnowałam parę lat na ten związek, bardziej z przyzwyczajenia niż z miłości. Choć było jasne, że od tego faceta nie można wymagać, aby utrzymał rozporek w ryzach. Nie stworzyłam szczegółowych zasad zabraniających mu pukania barmanki z knajpy koło jego biura w czasie przerwy na lunch – tylko czy zwykła

pryzwoitość nie mówi, aby nie dupczyć na prawo i lewo, kiedy się jest w stałym, poważnym związku? W sumie powinnam się domyślić, że coś jest nie halo, kiedy się wzdragał przed pomysłem wymienienia się kluczami do swoich mieszkań, a z czasem wynajęcia czegoś razem. Czerwony alarm zaczął wyć jednak w mojej głowie na całego, kiedy Kevin zniknął na trzy dni po tym, jak odrzuciłam jego propozycję trójkąta z inną kobietą. Prychnął coś, że powinnam bez gadania iść na taki układ, bo jestem bi, i podsumował, że „to jest bardziej dla ciebie niż dla mnie”.

– Dobra, było, minęło. Nie...

Rozległ się dźwięk mojego telefonu. Sprawdziłam i zobaczyłam wiadomość:

No i dylemat. *Poszukiwacze zaginionej arki* na jednym kanale, *Świątynia Przeznaczenia* na drugim. Co wybrać?

– Phi, *Poszukiwacze*, to jasne – mruknęłam. Dziewczyny pochyliły się ku mnie, spoglądając na ekran. – Przydałaby mi się odrobina prywatności.

– A co to jest prywatność? – Teagan wyrwała mi telefon z ręki i wbiła kod. – Oooch, Toby – zanuciła, pokazując esemesa całemu stolikowi.

– Tak, Toby! Na ten związek czekałyśmy – powiedziała Lucy.

Chelsea szturchnęła ją w żebra i Lucy jak na komendę wywróciła oczami.

– Ja i Toby? W życiu, on nie wykazuje zainteresowania. Poza tym to nie jest facet do związku.

– Posłuchaj, jeśli nie teraz, to kiedy? – Teagan podjęła swój ulubiony temat: sparowanie Lark z Tobym, do czego dążyła

od lat. Jak ją znam, pewnie szepnęła jego byłej dziewczynie na ucho parę niewinnych kłamstw, żeby przyspieszyć rozstanie. – Jedno i drugie wreszcie zostało singlem.

– Już wcześniej byliśmy singlami, no nie?

– Oj, wyluzuj, byliście nierozłączni już w szkole i Toby doceniał twoją specyficzną nerdowość. Idealnie pasujecie do siebie. – Chelsea wyraziła swoje zdanie, pukając palcem w obrus, podczas gdy współkonspiratorki zgodnie przytaknęły.

Fakt, że szybko się dogadaliśmy. Ale połączyła nas czysta przyjaźń; związek nam nie leżał. Toby miał pociąg do kobiet w typie Gal Gadot – dynamit i zadyma na towarzyskim ringu, a nie mądrała w kącie. Uczyliśmy się po nocach, a w weekendy chodziliśmy na kręgielnię, unikając dylematów typu „jak jedno chce, to drugie nie”.

– Poradzę mu, żeby sam zdecydował, bo nie lubisz *Gwiezdnych wojen* – odparła Teagan i zaczęła pisać odpowiedź.

– Boże, Teagan, tylko nie zmieniaj mi stylu – jęknęłam. Po paru sekundach telefon zasygnalizował wiadomość.

Prawie ci się udało, Teagan. Wróć do swojego babskiego wieczoru. Powiedz Lark, że wybieram *Poszukiwaczy*.

– Taki los – westchnęła Teagan, pokazując nam po kolei ekran telefonu.

Wyrwałam go jej, wystukałam szybkie przeprosiny i wcisnęłam komórkę głęboko do kieszeni. Niestety, kobiece kieszenie są nieżyciowe, więc połowa wystawała.

– Nic z tego nie wyjdzie. Musisz to wreszcie przyjąć do wiadomości – warknęłam. – Za długo byliśmy przyjaciółmi. Jeśli coś miałoby się zmienić, to zmieniłoby się już dawno. A poza tym, co jest złego w bliskiej przyjaźni?

SIĘGNIJ PO WIĘCEJ



**Papierowe
Serca**

-  Wydawnictwo Papierowe Serca
-  wydawnictwopapieroweserca
-  papieroweserca
-  papierowe_serca